

Andrzej Biernacki

Muzofile Wierszopolscy

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (60/61), 181-188

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Przechadzki

Andrzej BIERNACKI

Muzofile Wierszopolscy

I.

Znaliśmy go i przepadaliśmy za nim wszyscy – poloniści kilku pokoleń, którzy nie chcieli zerwać z robotami około historii literatury. Wychowaniec warszawskiego, gimnazjum św. Stanisława Kostki (stąd pierwszorzędne koleżeństwa), wybijający się student Józefa Ujejskiego (człowieka wielkiej subtelności uczuć i zachowań), cichy wielbiciel młodego docenta, który przed nim roztoczył uroki nieprzebranych wiadomości skrytych w prasie pozytywizmu (łatwo odgadnąć, że był to Zygmunt Szweykowski), początkujący nauczyciel w słynnej Rydzynie (nie dość z niej zadowolony, gdyż szkoła nadto była skrojona na wzór angielski, za mało katolicka), ceniony profesor u księży Marianów na stołecznych Bielanach – pozostał pan Edmund Jankowski fanatykiem swojego zawodu; nawet sukienka duchowna (a był rodzonym bratem warszawskiego pralata-muzykologa) nie tyle mu się wydawała czcigodna, co toga znawcy ojczystego piśmiennictwa.

Lubiliśmy również jego słabostki; nietrudno było wziąć go na fundusz. Celował w tym Leszek Kukulski ze swoim podstępny dowcipem. Wystarczało na przykład zagadnąć o jakąś rzadką broszurę, zaznaczając niepocziwie, że profesor Krzyżanowski ma zwyczaj o nią przy byle sposobności zapytywać. Pan Jankowski – przejęty – w te pędy zamykał biurko, na drzwiach swego gabinetu wywieszał kartkę, dokąd wyszedł – i już był w drodze do Biblioteki Narodowej. Albo: przychodziło się z odpowiednio tajemniczą miną, by panu Jankowskiemu zapowiedzieć intrygującą plotkę polityczną; na takie *dictum* rad się na chwilę odrywał od pracy. Wówczas stawiało się warunek, że wiadomość ma być pod ścisłym sekretem, ażeby usłyszeć sakramentalne: „To niemożliwe, mojej żonie mówię wszystko”. Wolno się było troszeczkę potargować: dobrze, niech to będzie pod dyskrecją przez najbliższe 2–3 dni – tyle niewierności małżeńskiej udawało się jakoś wyłudzić.

Przechadzki

Starszy od nas wiekiem, rówieśny nowym profesorem, doświadczeńszy zazwyczaj i od nich – Edmund Jankowski godził się na swoją mizerną pozycję w Pałacu Staszica jako przybyły tu w pełni lat stalinowskich, wprost ze szkolnictwa średniego. Podczas wojny i niemieckiej okupacji nie brakło mu odwagi, kiedy to był czynny w tajnym nauczaniu. To, co zobaczył i czego w jakiś sposób doznał (nie mówił o tym nigdy) przy bolszewizacji oświaty, sprawiło, że do końca swoich dni niezupełnie przestał być przepłoszony. Bolał, gdy część jego kolegów zaparła się tradycji, przecież – pokoleniowo chociażby – wspólnych; przyłgnał do osób usuwanych (jak Konrad Górski, z którym lubił korespondować), do pozostawianych na uboczu (jak Pigoń), do przeganianych (jak Zgorzelski, nim się znalazł w KUL-u). Wywoływanie, jak mawiał, ciekawych listów sprawiało mu radość.

Rozsądnie postawił na swoje zamiłowanie do literackiej dokumentacji, zrazu w Korbutianum (gdzie samowładnie rządził Krzyżanowski, osłaniając młodzież nie kwapiącą się do marksizmu); następnie – pod tym samym protektoratem – osiadł w Instytucie Badań Literackich w charakterze kustosa Archiwum Orzeszkowej. Rada Naukowa wprędce rozpoznała w nim swego idealnego sekretarza, Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza powołało go na wiceprezesa. Dużo odtąd wiedział, co w trawie piszczy, umiał jednak milczeć i po cichu wspomagał będących w tarapatkach.

Pisał stosunkowo niewiele, za to z inteligentną gruntownością. Leciutko czasem – jak to zwie Pigoń – plutarchizował: nie żeby krył tę czy ową smutną prawdę, ale jej też (skoro była) przed oczy gawiedzi nie wywlekał. Cytował krótko i bezbłędnie, najchętniej zaś stosował przytoczenie w porę urwane. A l u d o w a ć należało tu do wyróżnianych przezeń czasowników nawet w mowie potocznej. Kiedy się czyta jego główne dzieło, monografię Orzeszkowej, da się wypatrzeć, że jej autor rozporządzał nutą sentymentalną rodem z Karpińskiego. Jednakże objaśniając w swym krytycznym wydaniu *Listy* autorki *Nad Niemnem* przeobrażał się natychmiast w czystej krwi encyklopedystę (Jan Baculewski, dyrektor tamtych czasów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, który się trudził nad Konopnicką, komentarze pana Jankowskiego miał zawsze na podorzędziu – z setkami zakładek w każdym tomie!).

Szły lata. Niepostrzeżenie nasz skromny magister pozwolił się wydoktoryzować, przystąpił do świetnej (jak to uczestnicy kolokwium zapamiętali) habilitacji, powołany został na profesora – bez żadnych trudności: pozyskał szacunek naukowy, wobec którego spodziewane dąsy PZPR wolały się na głos nie ujawnić.

Gotowe były zadania związane z Orzeszkową, pozostały co najwyżej drobiazgi i uzupełnienia. Profesor Jankowski, przy całej swej obowiązkowości, nie krył zrozumiałego zmęczenia jednym wciąż tematem. Najwyższy był czas na płodozmian.

I wtedy właśnie dojrzała w Instytucie Badań Literackich myśl, że potrzebna jest reedycja Bara, rzecz prosta – rozszerzona, poprawiona. Aby tego móc dokonać, należało się wystarać o jakiegoś nie byle tropiciela.

Biernacki Muzofile Wierszopolscy

2.

Prawdę rzekłszy, był na podporządku. Tak zwana Kartoteka Bara przewędrowała z Biblioteki Jagiellońskiej do Instytutu Badań Literackich. Zrazu nad nią czuwał Witold Suchodolski, postać również nie do zapomnienia. Gdy go nie stało (1966) – nad Pracownią Dokumentacji i Edytorstwa XIX w. roztoczył opiekę właśnie Edmund Jankowski. Była bodaj chwila wahania: Czy się podejmie, czy się podjąć zgodzi trud materialnie żarzynający, jakim się – co było z góry widome – musi okazać wznowienie powszechnie używanego słownika pseudonimów, któryśmy mieli w spadku po Adamie Barze. Poczucie moralnego obowiązku przeważyło. Tak oto doszło do wydania czterech tomów *Słownika pseudonimów pisarzy polskich*, obejmującego niespełna pięć stuleci (XV w. – 1970 r.)^{1/}.

Ukazały się one w ciągu dwulecia 1994–1996; początkowe trzy odsyłają od pseudonimów do nazwisk, ostatni – od nazwisk do pseudonimów. Plon to – jak widać – w przybliżeniu trzydziestu aż lat pracy.

A ż lub raczej: t y l k o trzydziestu.

U podłoża dokumentarnego – prócz wspomnianej Kartoteki Bara – były tu materiały z dawna gromadzone do IBL-owskich słowników, a więc *Obrazu Literatury Polskiej* oraz biobibliografii pisarzy współczesnych. Zasługi ich redaktorów (nie mówiąc o współautorach) temat byłby to ważny, lecz osobny. Piotr Grzegorzczak – wielki obrońca godności zawodu bibliografa – ma dziś swą następczynię w Jadwidze Czachowskiej. Widać też coraz naoczniej, że uzdolnienia do bibliografii wspaniale mogą owocować historykom literatury. Nie zdążyli w tym względzie ukazać pełni możliwości trochę z sobą rywalizujący Janusz Stradecki i Jerzy Kądziela. Jak należy warsztat nauk pomocniczych historii przydaje się dowcipowi oraz umiejętnościom pisarskim – dowodem książki Romana Lotha. Jan Józef Lipski pośród rozlicznych swych zatrudnień zawsze znajdował czas, by hodować konika: zbierał mniej znane pseudonimy. Zacięciem bibliograficznym wykazuje się Jerzy Starnawski. Docieklivością tego rodzaju odznaczał się Jerzy Zbigniew Nowak. Jak i z jakich źródeł czerpał swą wszechstronną wiedzę, nigdy nie omieszka zajmująco powiadomić Tadeusz Ulewicz. Henryk Markiewicz każdą swoją pracą nasuwa przypuszczenie, że bibliografia nie jest mu jedynie sprawdzianem sumienności, lecz że kto wie, czy się w niej skrycie nie podkochuje. Rozprawy Elżbiety Aleksandrowskiej – w *Słowniku* Jankowskiego redaktorki działu oświeceniowego – wyrastają na gruncie użyźnionym szperactwem: drobne, a istotne fakty upiększają obraz i krajobraz literacki; znać szkołę Tadeusza Mikulskiego, widać, ile wrocławianom pomagał swoją twórczością, jak i osobistym przykładem Juliusz Wiktor Gomulicki.

Z sentymentem wspominam raczkowanie *Słownika*. Były to czasy, kiedy panią Jadwigę Kaczyńską odwiedzały w Pałacu Staszica jej bliźniaczy synowie – w filmowej wersji znani jako dwaj tacy, „co ukradli księżyc”. Kilkunastoosobowy załedwie

^{1/} *Słownik pseudonimów pisarzy polskich XV w. – 1970 r.*, tomy I–IV, oprac. zespół pod red. E. Jankowskiego, Wrocław–Warszawa–Kraków, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1994–1996.

Przechadzki

zespół, kierowany przez profesora Jankowskiego, przepatrzył pod kątem widzenia pseudonimów materiał olbrzymi. Najpierw, co jasne, sam słownik pseudonimów Adama Bara tudzież publikacje słowników omawiające i uzupełniające; tym sposobem odnotowano mnóstwo poprawek w rozwiązywaniu mylnych atrybucji (np. Anna Potocka – nie Anna to, lecz Adamowa zakryptonimowana literą A). Łupem następnym stały się inne, chociażby cząstkowe, niekiedy amatorskie słowniki pseudonimów, również więc przechowywane po różnych zakamarkach rękopiśmienne (np. Samuela Cwajgbauma; użył on tu pseudonimu Jan Drzewski, lecz ponieważ opracowania drukowi nie powierzył, *Słownik*, odnotowując go w bibliografii, wśród haseł pseudonimów – pominął). Dalsze kwerendy objęły ogrom naszego dorobku bibliografii wszelkich, znanych nie tylko publicznie, lecz również skrytych w kartotekach IBL-u i w archiwach czy muzeach całej Polski. W odniesieniu do uczonych skorzystano z „Festbuchów” im poświęconych. W co większych bibliotekach, w poszukiwaniu zatraconych pseudonimów, przewertowano nawet kartki katalogów. To można uznać za wyczyn. Ma też *Słownik* od samego zarania chętnych uzupełniaczy w kręgach literackich i zwłaszcza bibliofilskich: otrzymali i wzmiankę zbiorową, i słowa wdzięczności.

Apetyt – jak wiadomo – wzrasta w miarę jedzenia. Autorzy *Słownika*, korzystając oczywiście z *Polskiej bibliografii literackiej*, poszli jej śladem i uwzględnili także pewną liczbę pseudonimów – rzekłbym – wyludzonych. A było to mniej więcej tak: „Pebeelka” rozsyłała po redakcjach czasopism swoje kwerendy. Za lat realnego socjalizmu miano zwyczaj – czy wolno tak postępować, o to mniejsza! – miano więc zwyczaj udzielać wszelkiej informacji, jeśli zapytywał Urząd. Podstawą rozszyfrowywania nazwisk i graficznych oznaczeń autorstwa stawały się listy wierszówek. Że pseudonim jest pod prawną ochroną i wszelkie ujawnianie go zależy od zgody właściciela – o tym zdarzało się nie pamiętać nawet urzędnikom Stowarzyszenia Autorów ZAIKS! Drogą niedyskrecji przedostało się do omawianego tu dzieła sporo materiałów poufnych, w tym także nieco pseudonimowego śmiecia należącego wprawdzie do osób piszących, lecz nie pisarzy w tym znaczeniu, którym *Słownik* zwykł się posługiwać – to znaczy nie literatów, publicystów, dziennikarzy oraz co lepszych przedstawicieli humanistyki (na ogół uniwersyteckich profesorów). Dodać koniecznie trzeba, że pseudonimów raczej pilnie strzegły pisma poważne: „Tygodnik Powszechny” oraz paryska „Kultura”: tam dekonspiracja była w miarę możliwości utrudniana.

Na tym to (szerokim!) marginesie głównych poczyną powstały co najmniej dwie cenne rozprawy: *Słownik pseudonimów, czyli „Larva detracta”* Edmunda Jankowskiego (1970) i książka jego zastępczyni, Dobrostawy Swierczyńskiej – *Polski pseudonim literacki* (1983). Jest o czym pisać, skoro przecież licznymi pseudonimami posługiwał się już ojciec naszej literatury, i to nawet jako autor *Krótkiej rozprawy* (1543).

3.

Pseudonim! Bardzo to umowne słowo, którym się posługujemy na co dzień, by oznaczyć wszelki rodzaj autorskiego (bądź wydawniczego) podpisania dzieła, na

którym z rozmysłu nie widnieje aletonim, czyli cywilnoprawne nazwisko rzeczywiste piszącego. Nasz tu *Słownik* podaje wykaz podstawowych terminów pseudonimologicznych i spis ten liczy niespełna czterdzieści pozycji. Chociażby przy Krasickim widać, jak umiał się on posłużyć allonimem, jak jego pochlebcy stosując alienonim przed znanym X.B.W. dostawali J.O. (nikt bo przecie sam o sobie nie powie: Jaśnie Oświecony!). Dla kolekcjonera osobliwości istną może się stać rozkoszą śledzenie tych wszystkich, niech to będzie *pars pro toto* – pseudoandronimów.

Czasami (naprawdę rzadko) z profesorem Jankowskim zgodzić się na temat jakiegoś wywodu nie mogę. Gdy twierdzi on, że Jan Józef Szczepański należy do literatów zasłaniających się licznymi pseudonimami – jest to jakieś nieporozumienie: gdzież mu tam do Tuwima! Gdy natomiast powiada, że Roman Dmowski zlekceważył swą powieść wydaną pod pseudonimem w recenzji tejże powieści, ogłoszonej pod nazwiskiem – zakładam protest. Dmowski napisał: „Pan Wybranowski, czy jak się on tam nazywa”. Pan Jankowski zwie to wyrażeniem się „pobłaźliwie”. Skądże! Na tak złe wychowanie nikt by się jeszcze w roku 1931 w druku nie zdobył. Dmowski po prostu chciał na powieść zwrócić uwagę publiczności i zarazem dać do zrozumienia, że prawdziwe autorstwo jest zatajone pod byle jakim mówiącym pseudonimem. Opowiadał mi swego czasu rektor Lehr-Spławiński, że kiedyś otrzymał maszynopis (może i rękopis?) Brücknera, który wspominał artykuł czytelnego durnia sprzed lat i wytykał mu bzdury. „Lercia” (jak go zwano wśród przyjaciół) takiej brutalności nie wytrzymał, poprosił krewkiego autora, by ów obelgi złagodził. Otrzymał wnet z Berlina depezę: Ależ to ja sam byłem tym osłem. Wracając do Dmowskiego, warto pamiętać, jak bardzo dbał on o język i literacki, i kolokwialny: świadczą o tym jego listy do Ignacego Chrzanowskiego.

Redaktor naszego *Słownika*, zastanawiając się nad powodami, które autorów skłaniają, by uciekać się „do pseudonimów jako osłony autorstwa”, przychyła się (co najmniej częściowo) ku poglądom belgijskiego bibliografa, pana F. de Reiffenberga, który wyróżnia przyczyn siedem: obawa, ostrożność, obojętność, skromność, pycha, złośliwość, chęć wprowadzenia w błąd czytelnika. Od siebie autor wstępu, przytoczywszy ten sąd, z całą słuszością dorzuca i motywy inne, kto wie, czy nie ważniejsze: pseudonimy przybrane ze względów politycznych (niekiedy, przypomnijmy, przemyślnie pod tym kątem widzenia zaszyfrowane), ze względów religijnych, z pobudek dyplomatycznych, wreszcie – ogromny to rozdział – z chęci zabawy.

Powstaje tu zagadnienie osobne i praktycznie chyba nie do rozstrzygnięcia (poważaj i statystyka nie wystarczy). Co przeważa? – czy zamiar skrycia się za pseudonimem, czy (raczej?) chętką zostania rozpoznany? Zwróciłbym uwagę na wzgląd jeszcze jeden: Czytelnik, dopóki autor nie stanie się głośny, zapamiętuje łatwiej tytuł książki aniżeli jej twórcę. Popularność dzieła niejednokrotnie zachęca, by sięgnąć i po inne utwory tegoż autorstwa. Przypuszczam, że nawet i dla dzisiejszego (przynajmniej) polonisty określenie będące opunimem – Autor *Pojaty* – szybsze da skojarzenie właściwe aniżeli wymienienie Feliksa Bernatowicza! To nie objaw pychy, takie powołanie się na swój sukces; jest to coś w rodzaju prototypu reklamy, zawodowo całkiem przyzwoitej.

Przechadzki

Pod schyłek swych dni profesor Jankowski zaczął mieć kłopoty ze wzrokiem, w pracy jednakże nie ustawał – tylko w sposób widoczny zmniejszyła się jego możliwość rozczytywania się w nowościach, zwłaszcza zaś w pamiętnikach będących dla zbieraczy pseudonimów źródłem nie do wyczerpania. Nie tak też już pilnie zdołał się oddawać zajęciom, które jego obowiązkowość niezwykle cenita. Minęły czasy, kiedy to mógł (i chciał) dozierać omyłek druku, „nie folgując oczom”. Cytuję tu za panią Elżbietą Aleksandrowską Minasowicza, właściciela wielu ciekawych pseudonimów, poetę tyleż bagatelizująco traktowanego przez króla Stanisława Augusta, co docenianego przez autora *Monachomachii*.

4.

Zastępczynią i następczynią pana Jankowskiego została Dobrosława (Maria) Świerczyńska, która zaprawy słownikarskiej mogła się była nauczyć już w rodzinnym domu jako córka pana Stanisława Swirki, głównej postaci redagującej Nowego Adalberga, czemu patronował Julian Krzyżanowski.

Pani Duszka – osoba to stanowcza aż po pełen wdzięku uporek, wytrwała w pracy, dociekliwa i pomysłowa. Sprawdzamy jej pseudonimy! Są i one z talentem: Doś oraz Maria Dobrosławska. Jej specjalnością jest próba odbierania autorstwa przypisywanego pewnym osobom tradycyjnie i przysądzenia go – poprzez inne rozwiązanie pseudonimu – osobom niespodziewanym. Najgłośniejszy proces poszłakowy wytoczyła przyjacielowi Sienkiewicza, słynnemu „Antalkowi”. Spór o baronową XYZ nie jest jeszcze rozstrzygnięty, co pani Świerczyńska uczciwie odnotowuje w stosownym miejscu, zaznaczając jedynie swoje powątpiewania. Słusznie – idąc za Brücknerem, Estreicherem i Ulewiczem – uważa, że Hieronimus Polycornius to mimo wszystko Hieronim Spiczynski, nie zaś nieoczekiwany jakiś Hieronim Wielowiejski. Rad jestem, że w sporze o allonim rzekomy Trzecieskiego pozostaje przy Mikołaju Reju (i to wbrew powagom, takim jak Wiktor Weintraub).

Markuję tu sprawy, o których napisano rozprawy. Chcę unaocznic, że jak ciekawą mamy do czynienia pracą i jak pasjonujące być może śledzenie tych dociekań. I jak trudno pracę tę kiedy bądź uznać będzie można za ukończoną.

Każdy prawie może tutaj coś dodać. Ukazanie się wybitnego dzieła zawsze obrasta nowymi materiałami oraz mnóstwem przyczynków. Nie jest moim zamiarem wytykanie więc pominięć. Zwróć co najwyżej uwagę, że najciemniej jest pod latarnią. Otrzymaliśmy mnóstwo kryptonimów i dzięki nim identyfikujemy teraz w minutę wątpliwości, gdy mamy w podpisie np. częsty zbieg liter A.M. W takim jednak razie zasługiwałaby na uwzględnienie zabawa literacka, z której wynikła cała książeczka: spór Tuwima z J.W. Gomulickim, czy pewien wiersz można uznać za utwór Mickiewicza². Franciszek Bielak używał pseudonimu Wokulski, nie zaś Wakulski, co nie jest wyłącznie literówką: Jest ciekawa literatura na temat, jak

^{2/} J. Tuwim *Wiersz nieznanego poety. Gawęda literacko-obyczajowa*. Wstęp, rekonstrukcję zakończenia oraz postłowie opracował J.W. Gomulicki, Warszawa 1955. Wydawca dał rozwiązanie w formie zagadki!

Biernacki Muzofile Wierszopolscy

w przeszłym pokoleniu Wokulski stał się Bielakiem³. Nie znany Janusz Gościłcki był kiedyś co najmniej współpracownikiem IBL-u i drukował w księdze ku czci Wyki.

Słownik powstawał w okresie przedkomputerowym. Stąd, jak sądzę, niejednolitość zapisów odnoszących się do zawodu autorów: Profesor Adam Vetulani był o wiele mniej dziennikarzem niż Tadeusz Sinko. Zwykliśmy określać w biograficznych słownikach osoby wedle ich najwyższej godności; tutaj tymczasem nie zawsze wiadomo, który z księży doczekał się fioletów biskupich, a który nie. Czasem znów biskupia infuła przesłania tęgiego pisarza, jakim był Ludwik Łętowski. Kto jest tylko politykiem, kto już mężem stanu? – nie doszedłem. Piłsudskiemu ujęto godność Naczelnika Państwa.

Najbardziej sobie redakcja radzi z heraldyką, która w Polsce jest mało skomplikowana. Co jest herbem, co przydomkiem? Panuje pod tym względem chaos, najlepiej może widoczny pod hasłem „Dołęga”. Przy Dzierżkrajach-Morawskich prosiło się o zajrzenie do Niesieckiego pod „Czarnkowscy”. Platerowie są wszyscy Broel-Platerami, niektórzy zaś mają prawo do nazwiska Broel-Plater-Zyberk – i wówczas piszą się tylko Plater-Zyberk (nie: Zyberk-Plater).

Wszystko to uważam szczerze za drobiazgi w porównaniu z ogromem przeorańskich materiałów.

Nie mówiąc o niemałych uciechach innych: *Słownik* ich doprawdy nie szczędził! Mam na myśli pseudonimy-szarady lub zagadki. Obfituje w nie piśmiennictwo saskie, ze swymi towarzyskimi upodobaniami w wierszowaniu. Weźmy taki oto pseudonim:

Ten, którego imienia z następujących dorozumiesz się wierszów:

Weźmi miasto w Podolu z mocy Krycińskiego

Czeremysa, weźmi dzień, pomni wyjąć z niego

Czwarty szczebel, z sykaniem gdy się dorwiesz kija –

Zrozumiesz, wiersze głowa wymyśliła czyja.

Skrzydła mam, kiedy odchodzę w czarno białym stroju,

Domyśl się, kędy jestem w boju czy w pokoju.

Taki sobie podpis wymyślił uczony dominikanin, niezgorszy w swoich czasach poeta, uznaniem do dziś cieszący się tłumacz literatury starożytnej, w tym pewnej tragedii o... podagrze. Zna go Estreicher, nie pominął Bar, ma sobie poświęcone hasło w *Polskim słowniku biograficznym*, przydał się pani Świerczyńskiej, gdy pisała swoją tu wspomnianą wyżej książkę. Spróbujmy rozpoznać go bez tych źródeł. I pomyślmy, ileż pozostaje pseudonimów takich osób, którym nie było dane znaleźć się w PSB, a których życiorysy może by warto było odtworzyć, posługując się kryptonimami godności przez nie piastowanych, kryptonimami nęcącymi na kartach tytułowych ksiąg dotąd za mało zbadanych?

^{3/} A.J. Szeinke *Jak Wokulski stał się Bielakiem?*, „Tygodnik Powszechny” 1977 nr 4 /1461/.

Przechadzki

5.

Zdołała pani Świerczyńska doprowadzić zbiorowy trud do celu. Jeszcze przed odejściem z tego świata profesor Jankowski wiedział, że pierwszy tom *Słownika* poszedł do druku. Całość obejmuje kilkanaście tysięcy wartościowych rozwiązań pseudonimów (z zaznaczeniem uprzednich mylnych notowań) i wielokrotnie powiększoną liczbę pseudonimów niejednego z bardziej znanych ludzi pióra.

Nie jest chyba uroszczeniem scharakteryzowanie tego dzieła przy pomocy parafrazy jednego z pseudonimów Józefa Epifaniego Minasowicza: Muzofil Wirszpolski.